

Kronika tygodniowa.

Ponieważ obecnie świzt cały jest na opak, nie też dziwnego, że gdy kalendarz ogłasza nam wiosnę, termometr pokazuje nam zimą, co wpłynęło nadzwyczaj njemnie i na koci karnawał, przypadający i po inne lata na miesiąc marzec. Ale i ta reszta kotów, jakie jeszcze u nas zostały, dzięki wypadkom wojennym i ciągle niepewnej sytuacji, zerwała z dawnymi tradycjami i karnawał urządziła sobie przez rok cały.

Na świętego Józefa przylatują do nas zwykłe bociany, ale i o nich dotąd nie słychać, być może, że wpłynęło na to zamknięcie naszej południowej granicy przez Czechów, którzy usadowili się w północnych Węgrzech i tam się rządzą jak u siebie w domu.

Zniknęły też z widoku publicznego słomkowe kapelusze i powiewne jedwabie, które przez kilka dni miłym szelestem napelniały powietrze, a szaf zaś wyściągano pospiesznie futra i ciepłe płaszcze, a ludziska tęsknem okiem spoglądali na piec, w którym nie było czym zapalić, gdyż Czesi nie chcą dać węgla.

Jednem słowem, wróciła zima, aby się upomnieć o swe prawa, przed czem zresztą przestrzegał w swoim czasie kronikarz, by ktoś przypadkowo, łudząc się, że już wiosna, nie zaniósł lekkomyślnie futra do lombardu, skąd, zwłaszcza w drugiej połowie miesiąca trudniej mu do szafy domowej powrócić, niż nawet generałowi Hallerowi z Francji do Polski!

Zle się dzieje, to każdy musi przyznać. Na każdym kroku dają się we znaki stosunki aprowizacyjne, finansowe i polityczne, zostające ze sobą w ścisłym związku. Kto bowiem chce jeść (a bez tego nikt się obejść nie może...) lub ubrać (bez okrycia przystojnego cielesnej powłoki jakoś już łatwiej można sobie dać radę...), musi mieć na to pieniądze, wypadki polityczne tak się zaś układają, że się ich właśnie niema wtedy, kiedy są najbardziej potrzebne. Sytuacja się z każdym dniem podobno wyjaśnia, ale jakoś warunki życiowe również z dnia na dzień stają się coraz cięższe.

O! mały przykład z życia. Kronikarz jest, może kto powiedzieć zupełnie słusznie, rozrzućnikiem, gdyż od czasu do czasu pozwala sobie na taki zbytek, iż kupuje obwarzanek. Dawniej, za czasów pokojowych, płacono się zań cztery halerze, dziś kosztuje tylko dwie korony, choć trzeba przyznać, że o ile mniej na nim ciasta, o tyle dziurka w środku jest zato większa. Ponieważ mąka z Poznania już nadeszła, a amerykańska jest także w drodze, był pewny (naturalnie kronikarz, nie obwarzanek...), że te specjalne potanieją, ale pono nie wcześniej jak w maju, wiadomo zaś, co to znaczy w potocznej mowie: „czekaj do maja!...”

Na maj zapowiedział także swój powrót do Polski generał Haller wraz z armią, należy się więc obawiać, aby i z tem nie stało się tak, jak z potaniemiem obwarzanków.

To samo, co z obwarzankami, powtarza się i w innych działach aprowizacji. Kupcy i przemysłowcy narzekają, że nie mają co sprzedawać, wobec tego nie w tem dziwnego, że radca Balik wydzierżawił, mówiąc, swój interes masarski, by się pozbyć kłopotów i zmartwień, znowu „tylko” za sześćdziesiąt tysięcy koron rocznie, które, rzecz oczywista, będą musieli zapłacić konsumenci.

— Dość się już namartwiłem i nakłopotalem — tak mówił do jednego ze swych przyjaciół politycznych — teraz kolej na innych. Ja sobie odpocznę, niech się martwią oni!...

Zjechał wprawdzie w ostatnim czasie do Krakowa delegat ministerstwa aprowizacji z Warszawy i obiecał, że lada chwila nadejdą zapasy amerykańskie, z których kapnie coś i dla Krakowa, że zatem trzeba się zbroić w cierpliwość i czekać, kto bowiem nie doczeka się, ten sam sobie będzie musiał przypisać winę, że nie weźmie udziału przy rozdzielaniu tych smakolejków.

Na razie rozdzielono mąkę poznańską i psenkę, potem mąkę amerykańską, słoninę i smalec zapakowano chwilowo do magazynów, by nie gwałcić wielkiego postu i nie wodzić ludzi na pokuszenie, zwłaszcza że magistrat ma mieć na oku nie tylko doczesne dobro mieszkańców, ale i ich zbawienie. Gdyby zaś przypadek chciał, co nie jest wykluczone, że tymczasem słoninę zjedzą szczury albo myszy, to i tak nie pójdzie to na marne. Tem smaczniejsze będą potem salcesony, kiszki, kiełbasy itd.

W ślad za delegatem aprowizacji zjechał do nas i pan minister zdrowia, aby się na własne swe oczy przekonać, jak się mamy i czy na razie wystarczają nam obietnice. A zna nas dobrze, gdyż do niedawnego czasu był naczelnym miejskim fizykiem i ciągle nas upominał: „Mimo przeciwności nie upadaj na duchu”.

Celem uczczenia należytego miłego gościa wydał magistrat na odcinki kart cukrowych z drugiej połowy lutego po kawałku mydła, zostawiając każdemu do

wyboru, czy się niem chce umyć, czy też zastąpić cukier i osłodzić tę lurę, którą dziś nazywamy kawą lub herbatą.

Czystość jest jednym z głównych warunków zdrowia, nie też w tem dziwnego, że to zastąpienie cukru mydłem spotkało się z zupełnem uznaniem pana ministra fizyka.

Mąkę, psenkę, tłuszcze, cukier i mydło łatwo dzielić, gorzej będzie z tą zapowiadaną odzieżą, jadącą z Ameryki. Potrzebujących jakiego takiego okrycia cielesnej powłoki jest tylu, że na jednostkę, naturalnie rodzaju męskiego, wypaść może zaledwie jedna... no gawica lub rękaw. Czy nadejdą i damskie kostiumy, tego powiedzieć nie mogę, gdyż nie wiem. Zresztą, choćby nawet i nadeszły, gotowe tymczasem wyjść z mody, a żadna z szanujących się niewiast nie wdziaby chyba na się coś niemodnego!...

Skoro mowa o aprowizacji, to akurat dobra sposobność do żałosnego wspomnienia o nafcie.

Jestem szczęśliwym posiadaczem lampy, o której mogę powiedzieć słowami poety:

„Lampa, co zawsze na stole tam stoi
Tem straszniemi słowami mnie poi:
Morderco!... Tydzień nafty nie widziałam!
Popatrz! Z pragnienia całkiem popękałam!
I pokazuje mi swe wielkie szpary
I woła dziko: Gdzie twoje grajcare?!...”

Może sobie wołać, jak się jej żywnie podoba, a ja jej na to nie nie poradzę, choć bowiem mam kwit na naftę, nafty brak, gdyż jedzie za granicę do tych, którzy lepiej za nią placą. Pan Petura, na wniosek ober nacierza Wityka orzekł, że Polska nafty nie potrzebuje, potrzebują jej natomiast Czsi, dający za to Urańcom zachodnim czeskie węgle ze Śląska i amunicję, skradzioną z zapasów, przeznaczonych dla Polski.

Słynna afera naftowa, o której niedawno tyle pisano i mówiono, przychodzi coraz bardziej. Czytałem niedawno, że „zatacza coraz szersze kręgi”, a wiem z doświadczenia, że kamień rzucony we wodę, tworzy fale, a one rozchodzą się w krag, stają się coraz mniejsze i słabsze, aż wreszcie zupełnie giną z powierzchni. Kto wie, czy i w tym wypadku nie będzie tak samo. Nafta śmiesz, więc sam rozum dyktuje, że się jej tykać nie należy. Zresztą i w tym wypadku wchodzi pono w grę jakieś „wyższe racje stanu”, ponadto wiosna za pasem, dni coraz dłuższe, zaprowadzi się czas letni, więc brak nafty odebrać się zbytało nie da nikomu (kto ma gaz lub elektrykę!... przyp. zecera).

Co do kłopotów natury finansowej, to na pierwszym planie musimy postawić stemplowanie koron, marek i rubli. Szcześliwy, kto ich nie posiada, nie będzie bowiem musiał ustawiać się w ogonku i czekać cierpliwie na swą kolej. To jednak gorsze, że choć owo stemplowanie ma się odbyć dopiero za miesiąc, już dziś daje się we znaki. Ogłoszono, że wolne od stemplowania są noty jedno i dwukoronne i nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknęły one z widoku publicznego, przenosząc się do kas spekulantów, którzy zbierają je w pocie czoła dalej, choć nadmieniono dodatkowo, że wszystkie banknoty muszą być stemplowane. Ponieważ do subskrybowania przymusowego pożyczki państwowej ten tylko jest obowiązany, kto ma więcej niż sześć tysięcy koron gotówki, różne przemysłowe jednostki, chcąc się i od tego uchylić, choć nie na tem nie tracą, na gwałt składają w kasach swe oszczędności, ale tylko po pięć tysięcy na jedną książeczkę, każąc je sobie wystawiać na rozmaite nazwiska, byle tylko nie przyjść z pomocą temu biednemu skarbowi polskiemu, potrzebującemu gotówki.

Przy tej sposobności wyłaziło znowu snyder z worka, czyli pokazało się, że ta biedna Galicya musi być zawsze kozłem ofiarnym. Tak bywało za dawnych, austriackich czasów, tak jest, niestety, i za polskich. Widocznie i Warszawa uważa nas nie za dziadów, jakimi w istocie jesteśmy, ale za bogaczy, narzekających na bledę tylko z przyzwyczajenia lub... z braku innego zajęcia.

Projekt ustawy o przymusowej pożyczce państwowej przy sposobności stemplowania powiada, że do subskrybowania jej są tylko ci obywatele, którzy mają więcej, niż sześć tysięcy koron lub pięć tysięcy marek. Jaki między temi kwotami zachodzi stosunek, wie każdy, kto za markę musiał płacić dwie korony. Królewski, mając więc dziesięć tysięcy koron nie potrzebuje nic dawać, Polak z Galicyi jest do tego obowiązany, mając choćby tylko sześć tysięcy i jedną koronę. A trzeba pamiętać, że na pożyczkę przymusową musi złożyć pięćdziesiąt procent nie od nadwyżki ponad ustawowe minimum, ale od pełnej kwoty, więc trzy tysiące i pięćdziesiąt halerzy.

Bardzo to ładnie, że panowie z ministerstwa skarbu mają o nas tak dobre wyobrażenie, ale byłoby dla nas lepiej, gdyby było odwrotnie. Wszak Galicya w czasie

wojny z pewnością mniej nie ucierpiała, niż Królestwo. Tam dziś już spokój, a u nas ciągle wojna. Wiadomo zresztą, publiczna to tajemnica, że my nie opływaliśmy nigdy w dostatki, zadowoleni, jeśli się nam udawało pędzić życie z dnia na dzień i jakotako wiązać koniec z końcem.

Odpowiedzialność za to spada na pana ministra skarbu w pierwszym rządzie, ale ja mu wybaczam najmiłośniej, gdyż już dotknął go palec sprawiedliwości. Pożegnał się z teką, nie doczekawszy się nawet nie tylko „lecha”, ale i „złotego polskiego”.

Stanie się z nim zupełnie tak samo, jak z panem Thugutem. Nie przeżył zbyt długo korony, którą zdarł, a przynajmniej chciał zdebrać z głowy białemu Orłowi!

Nawet takiej małej pamiątki, jak ów „lech” nie pozostawił po sobie gabinet Moraczewskiego, który wogóle nie miał szczęścia, gdyż nie mu się nie udawało, do czego się tylko zabrał. Chciał, aby ci, którzy nie mają nic, stali się odrazu milionerami, ci zaś, którzy je mieli dotąd, aby zajęli ich miejsce, ale się to jakoś nie mogło w czyn zamienić. Wogóle po całym tym rządzie pozostał tylko niesmak i przeświadczenie, że nie każdemu jest danem, by godnie pełnił, choćby nawet i w najlepszej chęci i woli przyjęte na się obowiązki, jeśli... do nich nie dorósł!

Kronikarzowi, o ile to jego oświadczenie dotyczy, zupełnie wszystko jedno, czy to będzie „lech”, czy „złoty polski”, czy nawet „korona” (byle nie „niebieska”, gdyż do tej aspiracji dopiero po najdłuższym zyciu), czy one będą stemplowane, czy nie, wychodzi bowiem ze założenia, że, kto się urodził do torby działowskiej, ten się nigdy kuferka nie dorobi. Wszakle jego finansowe operacje, na jakąkolwiek skalę, małe czy wielkie, tak mu się wiodą, jak cyganowi praca na roli. Tak jednakowoż być powinno, gdyż w przeciwnym razie nie miałoby racji bytu owo określenie „bryndzy dziennikarskiej”, będącej udziałem wszystkich pracowników pióra, żyjących jako owi ptakowie niebiescy, co to ani orzą, ani sieją... zaś mówiąc prozaicznie „z procentów od swych długów”. Znałem tylko dwu, którzy się dorobili majątku na literaturze. Jednym z nich był Sienkiewicz, drugim Hłopcas, ale obaj już nie żyją. Reszta braci daleko karsko-literackiej to prawdziwi „ge-decy” (goli demokraci... bez względu na to, do którego stronnictwa politycznego zgłosili lub jeszcze zgłoszą swą przynależność).

A teraz wreszcie kolej na politykę. Z którą w ostatnich czasach chodzę tam się naprawdę po macoszemu. Ale ona mi to wybacz, choćby tylko z tego powodu, że tymczasem inni znęcali się nad nią bez litości.

Jeśli o nią zawadzę, to tylko dlatego, iż wyszedłem ze założenia, że aprowizacja, sprawy finansowe i polityka zostają ze sobą w ścisłym związku. Zresztą jest to temat bardzo niewdzięczny, bo nikt nigdy nie wie „co w trawie piszczy”.

Ponieważ oczy całego świata są dziś zwrócone na Paryż, gdzie obraduje konferencja pokojowa, nie w tem chyba dziwnego, że i kronikarz zacznie od Paryża.

Jak doniosły pisma codzienne, Gdańsk przyznano już Polsce, wyznaczono też i zachodnią granicę Polski, przywracając nam częściowo to, co nam w ciągu wielokół zagrabili kochani sąsiedzi. Na razie nie są to jeszcze ostateczne urzędowe decyzje, ale pogłoski powtórzone za francuskimi pismami, jak „Journal des Debats” i „Echo de Paris”, trzeba więc być na to przygotowanym, że może jeszcze zajść taka zmiana, oby tylko nie na naszą niekorzyść. Zaznaczyć przytem należy, że już dziś podnoszą się głosy i to nie tylko w prasie czeskiej, że ze Śląskiem jest coś niewyraźne. Czesi nie tracą nadziei, że koalicja pójdzie im w tym wypadku na rękę i przyzna im słuszność. Jakich używają w tym celu argumentów, o tem wiedzają tylko oni sami, no i koalicja, rzekomo dla nas przychylnie usposobiona, ale i Czechów popierająca na każdym kroku i to bardzo wydatnie, czego data dowód oddając im w ręce całą żeglugę na Dunaju. Mając w ten sposób dostęp do morza Czarnego, może zrzekną się swych „słusznych” pretensyj do Gdańska i choć w tym kierunku dadzą nam spokój.

Czy Niemcy zgodzą się na rozstrzygnięcie konferencji pokojowej i uznają zachodnią granicę Polski, wytyczoną przez koalicję, także nie wiemy, lecz można się spodziewać, że będą protestować, choć mają nóż na gardle. Ale taka to już natura krwiożeczna. Możemy być pewni, że jeszcze dość sady zaleją nam za skórę i to bardzo gorącego, a pomocną rękę podadzą im ich przyjaciele, rosyjscy bolszewicy. To jednak jest pewne, że rozejm polsko-niemiecki podpisano i to pozwoliło na wycofanie z Poznańskiego części wojsk polskich, które wyruszyły na odsiecz Lwowa i bardzo dzielnie się tam spisują, wobec czego pan Petura wraz z swym rządem uważał za stosowne spakować manatki i stolicę zachodniej Ukrainy przenieść tymczasem do Płoskirowa.